

Proza pod dyktando lirycznych rękoczynów

Gdański poeta i pisarz Aleksander Jurewicz obchodził w poprzedni piątek siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Za najlepszą formę uczczenia jubileuszu uznał spotkanie z miłośnikami swojej twórczości. W kulisy przygotowania tej uroczystości niefortunnie zaplątał się tytuł pisanej przez Jurewicza od wielu lat książki, która nosi roboczy tytuł „Na pożegnanie”.



FOT. PIOTR HUKAŁO

Pisarski niezwykle prestiż zdobył Jurewicz dzięki publikacji nostalgicznej „Lidy”, traumatycznej opowieści ze spędzonego w sowieckiej Białorusi dzieciństwa

Henryk Tronowicz

Spotkanie z Aleksandrem Jurewiczem odbyło się w bibliotece przy Targu Rakowym w Gdańsku. Poprowadziła je Gabriela Pewińska-Jaśniewicz. „Biblioteka to była świątynia mojego dzieciństwa” - wyznał kiedyś pisarz. W miniony piątek, przy wypełnionej sali Jurewicz przez dwie godziny wspominał przebieg siedmiu dekad swego życia. Trzeba tu wtrącić, że Jurewicz nie mógł wspomnień rozwijać w szerszym wymiarze, bo, jak zaznaczył, spotkanie musiałoby trwać co najmniej do północy. Musiał pominąć liczne wspomnienia, znane z wcześniejszych publikacji prasowych.

Obora i dyscyplina

Spróbujmy odnotować niektóre - na ogół mniej znane -

zdarzenia z curriculum vitae Aleksandra Jurewicza, które przywoływał w piątkowy wieczór. Miał pięć lat, kiedy w roku 1957 w ramach akcji repatriacyjnej przyjechał z rodzicami z Lidy do Polski. Zamieszkali we wsi Redło. Przydzielono im tam połowę domu. Druga połowa była oborą.

Naukę Olek rozpoczynał w szkole podstawowej, w której jedynym środkiem dyscyplinującym uczniów były dotkliwe kary cielesne. Jeden z nauczycieli Aleksandra nosił nazwisko Polak. Pan Polak za najmniejsze przewinienie wymierzał karę linijką. Wspomina Jurewicz: „Braliśmy w dupę od... Polaka”.

Przykrości przyszły wybitny gdański pisarz doświadczał w tamtych latach i z tego powodu, że nie operował biegle językiem polskim. Słyszał

nieraz obelgi, że jest „kacap”. W duszy przyszłego pisarza narastało poczucie samotności.

Parszywe kłamstwo

W tej niewesołej sytuacji Jurewicz odnajdywał swoje pasje w literaturze, ale nie tylko w książkach. Proboszcz pobliskiej parafii sprowadzał tygodniki literackie. Aleksander był ministrantem i udało mu się wypożyczać od księdza tygodniki literackie. Przeczytał też wówczas książkę Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303” i wysłał do autora list wyrażający ekscytację. Poczytny pisarz nie tylko podziękował Aleksandrowi za list, ale do przesyłki dołączył jedną ze swoich powieści. Okładkę tomu ozdobiło zdjęcie dwóch półnagich dziewczyn. Na ten

Dokończenie na str. 14

JUBILEUSZ ALEKSANDRA JUREWICZA

Dokończenie ze str. 13

widok, surowy ojciec Olka siarczyście zaklął.

O tym natomiast, że później Jurewicz zdecydował się na własne próby poetyckie, przesądziło popełnione przez niego parszywe kłamstwo. Otóż kiedy dowiedział się, że w pobliskim Świdwinie dyrektorem Domu Kultury jest poeta Stanisław Mosakowski, pojechał do niego z prośbą o autograf do jego tomiku poezji „Jest taki świat”. Poeta spytał go, czy pisze wiersze. Jurewicz nie pisał. Ale zełgał, że pisze. I nawet obiecał, że mu swój dorobek przedstawi. W ten sposób wpakował się w sytuację bez wyjścia. Musiał w błagę brnąć dalej.

Po powrocie do domu zabrał się pracować do układania rymów. Tak zaświtała Jurewiczowi wizja pisarska, bo kiedy zawiózł panu Mosakowskiemu kilka swoich wierszy, poeta go zachęcił do pracy nad dalszymi utworami. Aleksander poczuł się zachęcony także przez polonistkę Hannę Majewską, która jeden z jego

pierwszych wierszy zaprezentowała na akademii, w której udział brał komplet uczniów liceum.

Wśród swoich ówczesnych lektur Jurewicz w piątek wymieniał poezję Tadeusza Różewicza, a z prozy światowej słynną eksperymentalną powieść Cortazara „Gra w klasy”.

Nie od razu Jurewicz jako poeta zadebiutował na łamach prasy.

Śmieje się teraz, kiedy opowiada, że za pierwsze honorarium po debiucie poetyckim w warszawskim tygodniku „Radar”, kupił sobie krawat.

Wśród przyjaciół Anioł Stróż

W roku 1971 Aleksander Jurewicz wstąpił na polonistykę w Uniwersytecie Gdańskim. Na piątkowym spotkaniu jubilat dygresyjnie wtrącił, że na studiach był traktowany „jakby na wariackich papierach”. Tego wątku jednak nie rozwinął.

Na uczelni zaprzyjaźnił się z trzema kolegami, z Andrzejem Esdenem-Tempskim, Antonim Pawlakiem i Markiem

Bieńkowskim. W stanie wojennym razem wydawali pismo bezdebitowe „Podpunkt”.

Na uniwerku Jurewicz zakolegował się także z Leszkiem Kopciem, dziś, jak wiadomo, dyrektorem festiwalu filmów polskich w Gdyni. Od 50 lat Leszek jest dla Jurewicza nie tylko niezawodnym przyjacielem. Jak w piątek Aleksander powiedział, to wprost jego Anioł Stróż. Kopiec to powiernik pisarza i pierwszy czytelnik maszynopisu każdej jego nowej książki. O przyjaźni z Leszkiem Kopciem Jurewicz w piątek napomykał z różnych powodów parokrotnie.

Spośród grona swoich literackich współczesnych przyjaciół, ze szczególną estymą Jurewicz wspomina przedwcześnie zmarłego prozaika Jerzego Pilcha.

Gorzkie lata stanu wojennego

Mało znane są przejścia Jurewicza, jakich doświadczył po aresztowaniu Marka Nowakowskiego, autora „Ra-

portu o stanie wojennym”. W roku 1984 został wezwany przez esbecję na przesłuchanie. Przeżył koszmar. Na Okopowej przyciskano go do ściany przez siedem godzin, chociaż z Nowakowskim spotykał się jedynie sporadycznie, kiedy studiował na wydziale scenariopisarstwa w łódzkiej Filmówce (zajęcia odbywały się w Warszawie). Nowakowski był inwigilowany non stop na każdym kroku. Na podstawie „zdjęć operacyjnych” namierzono w jego obecności również osobę Jurewicza i to wystarczyło do dręczenia go wyssanymi z paluchów podejrzeniami o spisek.

Tu też warto odnotować, że w czasie piątkowego spotkania Jurewicz - bodaj po raz pierwszy publicznie - wyjawiał autentyczne personalia sprawcy popełnionej w Lidzie zbrodni w afekcie, która jest zakamuflowanym motywem powieści „Prawdziwa ballada o miłości”.

Pisarski niezwykle prestiż zdobył Jurewicz dzięki publikacji nostalgicznej „Lidy”,

traumatycznej opowieści ze spędzonego w sowieckiej Białorusi dzieciństwa. Oddał w niej hołd swojej ukochanej babci. Książka została uhonorowana Nagrodą Czesława Miłosza oraz Nagrodą Fundacji im. Marii i Jerzego Kuncewiczów. „Lidę” opublikował Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej „Kultury” (1990).

Później Jurewicz napisał wspomnianą „Prawdziwą balladę o miłości”, którą poświęcił pamięci swojej mamy. W powieści „Pan Bóg nie słyszy głuchych”, utrwalił pisarz postać dziadka. Czwarta książka „Dzień przed końcem świata” powstała po śmierci ojca Jurewicza.

Rękodzieła, czyli pisarskie rękoczyny

W piątek Aleksander Jurewicz raz jeszcze dowiódł, że potrafi nie tylko mistrzowsko władać piórem i pisać pięknie polskim językiem. Jest bowiem tak samo fascynującym narratorem. Tu, a propos używania pióra, dodajmy, że Jurewicz w pracy nad swoimi utworami nie korzysta z kom-

putera. Twierdzi, że jego teksty powstają jako rękodzieła. Z kolei zdaniem znanego z uroczej swady artysty malarza Hugona Laseckiego, to nie są żadne rękodzieła. To są wspaniałe liryczne rękoczyny.

Autorskie rękoczyny Aleksandra Jurewicza miały nierytmicznie.

Pracę nad „Książką na pożegnanie” przed rokiem pisarzowi przerwała konieczność poddania się leczeniu po wykryciu, że w jego płucach grasuje złośliwy nowotwór. Niełatwa kuracja trwa. Jurewicz jednak ze swoich lirycznych rękoczynów nie rezygnuje. Druk fragmentów powstającej w wyjątkowym mozołe książki zapowiada jeden z trójmiejskich periodyków. Z kolei inny wydawca ma w planach publikację kompletu czterech wspomnianych powieści Jurewicza, które dla niego stanowią mit rodzinny. Jurewicz jest pełen nadziei, że następne spotkanie z czytelnikami odbędzie się z okazji promocji wydania tej jego sagi rodzinnej. Zatem Aleksandrze, zdrowia i weny! I do zobaczenia.